Maj 2018

MAMMUTHUS MONTANUS

ssp. harnasiensis

238

PODORGAN MAMUTÓW SKPG „HARNASIE”

HARNASIE NA MAJÓWCE

Z wielu przyczyn nie mogliśmy wyjechać na dłużej, udało się nam odbyć dwie niedalekie jednodniowe wycieczki. Pierwszego maja w czwórkę, z Daną, Lilką C. i Piotrem S. pojechaliśmy najpierw do Arboretum Novy Dvur koło Opawy. POLECAMY, zwłaszcza teraz, w najbliższym czasie. Arboretum posiada największy w CR zbiór różaneczników (rododendronów, azalii), które właśnie rozkwitają. Nawet sobie nie wyobrażałem, że jest ich tak wiele.

Następnie pojechaliśmy do nieodległego Hradca nad Moravici, gdzie zwiedziliśmy tzw. Biały Zamek, również godny polecenia. Jest to typowy przykład wielkopańskiej rezydencji z pięknie zachowanymi wnętrzami i wyposażeniem książęcego rodu Lichnowskich. Po drobnym posiłku pojechaliśmy do Radunia, gdzie rzutem na taśmę (ja o kulach!) dołączyliśmy do ostatniej grupy. I to był strzał w dziesiątkę. W życiu zwiedziłem już dziesiątki (setkę lub więcej) zamków i pałaców i naprawdę niezwykle rzadko trafia się na tak kompetentną przewodniczkę. Późnym popołudniem przespacerowaliśmy się po centrum Opawy, czystym, zadbanym, niestety z wieloma pamiątkami realnego socjalizmu wetkniętymi w zabytkową tkankę miasta.

Na drugą wycieczkę, trzeciego maja, w tym samym składzie, pojechaliśmy trochę dalej. Wpierw zwiedziliśmy pałac krzyżacki w Bruntalu, który w dwudziestoleciu międzywojennym był główną siedzibą Zakonu Szpitalników, rezydencją Wielkiego Mistrza. Pałac ma rzadko spotykany rzut trójkąta i wspaniale zachowane wyposażenie. Po spacerze przez bruntalską starówkę pojechaliśmy do Szternberku. Tam zwiedziliśmy zamek Lichtensztajnów. Mnóstwo schodów, ale warto było. Również zdecydowanie polecamy. Poniżej zamku znajduje się ogromny barokowy kościół, który również można i należy zwiedzić. Pan przewodnik, wyższy i chudszy od Milimetra, okazał się organistą i zagrał nam krótki koncert (Bach z niemieckimi słowami). Sam Szternberk jest chyba najładniejszym z tych kilku miasteczek, które w ciągu dwóch dni obejrzeliśmy. Następnie pojechaliśmy do Uniczowa z wielkim ładnym rynkiem i jeszcze ładniejszym ratuszem. Po odpoczynku w lokalnej winotece pojechaliśmy do Karniowa. To spore miasto, przemysłowe, lecz z bardzo ładną starówką, po której też pospacerowaliśmy.

Przedstawiłem powyższą krótką relację po pierwsze jako propozycję dwóch bardzo ciekawych, acz dosyć intensywnych, jednodniowych wycieczek w nieodległy nam teren, po drugie, aby podzielić się refleksją, że możemy tylko zazdrościć Czechom, że ostatnia wojna, jaka odbyła się na ich terytorium, to wojna trzydziestoletnia.

Jan Kowalik

✸〰✸〰✸

W tym roku majówka była prawdziwym wstępem do wakacji – zarówno ze względu na długość (całe 9 dni), jak i pogodę. Pierwsze 5 dni byliśmy z Jolą i Januszem Mroczkiem na rowerach w Czeskiej Kanadzie – polecanej parę lat temu przez Jasia Kowalika. Dwie noce spaliśmy w wiosce Klec koło Lomnice nad Lužnici, a kolejne 3 noce w Novej Bystricy. Zrobiliśmy w sumie 5 wycieczek rowerowych, zwiedziliśmy Trzeboń, Jidrzichów Hradec, Slavonice i pomniejsze miejscowości.

Rejon jest bardzo dobry na rowery, zwłaszcza dla osób lubiących asfalty. Jakieś 80% szlaków rowerowych, to albo mało ruchliwe drogi publiczne, albo wąskie leśne asfalciki zamknięte dla ruchu. Są też leśne szutry i polne drogi lub ścieżki, ale generalnie chcąc wjechać w „teren”, należy wybierać szlaki piesze lub nieznakowane warianty. Czasem można trafić nawet na całkiem ambitne fragmenty, bo teren jest pagórkowaty. Nasze trasy były dość urozmaicone i zawierały wszystkiego po trochu.

W czwartek przenieśliśmy się do Ściborza koło Otmuchowa, gdzie spotkaliśmy się z Witkiem Wolnym, Raketami, Paskudami, a w niedzielę również Żabami. Po drodze zwiedziliśmy Telcz.

W piątek zrobiliśmy wycieczkę rowerową w okolicach Otmuchowa, zwiedzając m.in. okoliczne pałace oraz Javornik po stronie Czeskiej. W sobotę pojechaliśmy do Paczkowa i Kamieńca Ząbkowickiego, gdzie zwiedziliśmy pałac, a wracaliśmy przez Złoty Stok i Czechy. W sobotę podjechaliśmy autami do Vidnawy, skąd popróbowaliśmy jazdy najłatwiejszymi wariantami Rychlebskich Ścieżek. Żaby dodatkowo zrobiły trudniejszy wariant „Superflow”.

P.S. Gdy wyjeżdżaliśmy w sobotę 28.04, w Czechach brakło nalepek na autostrady na stacjach benzynowych. W Ostrawie udało nam się kupić ostatnie dwie, ale miesięczne.

Jacek Ginter

✸〰✸〰✸

My zdobyliśmy Brocken w Górach Harz i Berlin w czwórkę bez psa. Góry przypominają Sudety, tylko klęska ekologiczna jak w Górach Izerskich 30 lat temu. Berlin raczej płaski.

Jola Sławek Michał i Łukasz Nowiccy

✸〰✸〰✸

Dywizjon żeglarski marynarki Harnasi odbył rejs szkoleniowy po Bałtyku. Marynarze zamustrowali się na s/y Bahia Sol w Gdańsku-Górkach Zachodnich. Po pobraniu prowiantu oraz wody jacht wyruszył późnym wieczorem w sobotę do Karlskrony. Przelot przez morze odbywał się bajdewindem, wiatr północno-zachodni. Dywizjon przybił do kei w Karlskronie w poniedziałek 30 kwietnia.

Następnie marynarze wyruszyli na rozpoznanie bojem miejscowości. Szału nie ma. Generalnie okazało się, że jest to głównie port marynarki wojennej i stosunkowo nowe miasto. Następnego dnia jacht wyruszył w rejs po wyspach i wysepkach w kierunku zachodnim. Z ciekawostek – w Szwecji w cenie portu jest także sauna – całkiem miła odmiana po wygwizdulu, który panował na morzu. Wybrzeże szwedzkie bardzo ładne i urokliwe – szczególnie od morza.

Po nocnym przelocie rano 3 maja jacht dotarł do Hammerhavn na Bornholmie. Po krótkim, acz zaciętym boju opanowano górujący nad portem zamek i punktualnie o godz. 10:22 polska flaga załopotała nad Bornholmem, tym samym wyspa została inkorporowana do Rzeczpospolitej. Sejm walny, po przegłosowaniu konstytucji, przyjął ziemię Bornholmu jako dobra dziedziczne Korony.

Dalej marynarze odwiedzili kilka portów na wyspie i skierowali się na Christianso. Niestety pogoda okazała się mniej łaskawa dla statków o napędzie żaglowym – wiatr ucichł. Z Christianso do Władysławowa przez ponad dobę s/y Bahia Sol szedł na silniku. Po drodze napotkano pławy meteorologiczne oraz statek badawczy s/y Oceania Polskiej Akademii Nauk. Wieczorem 4 maja zawitano do portu we Władysławowie. Niestety warunki w polskich portach znacznie odbiegają od reszty świata. Np. ubikacje są czynne jedynie od 7 do 15 i to tylko jeden ze smaczków.

Dalsza podróż także odbywała się na silniku ze względu na brak wiatru. Marynarze zawitali do Gdyni, gdzie uzupełniono zapasy paliwa, i skierowali się do portu macierzystego w Górkach Zachodnich.

Dane: długość jachtu 13,9 m, zanurzenie 1,65 m, żagle: grot, fok, genua. Temperatura wody ~10 st; siła wiatru <0–7>B

Harnasi reprezentował jedynie załogant Jacek P.rzyłucki

✹〰✹〰✹

A ja pracowałam, ale w bardzo ciekawych miejscach, byłam bowiem na Wołyniu, Podolu, Bukowinie i innych pięknych miejscach na rzeczywiście pięknie zielonej Ukrainie.

Prowadziłam wycieczkę trasą: Lwów (2 dni) – Podhorce – Poczajów – Krzemieniec – Wiśniowiec – Zbaraż – Tarnopol – Trembowla – Kamieniec Podolski – rejs po Dniestrze – Chocim – Okopy Świętej Trójcy – Kamieniec Podolski – Czerniowce – Kołomyja – Stanisławów – Stryj – Żółkiew – Zamość.

Program był bardzo intensywny, mieliśmy świetnego lokalnego przewodnika (Polaka z Podola). Mieliśmy też trochę przygód (m.in. awarię autokaru pośrodku niczego, w miejscu gdzie nawet zasięgu nie było). Ale było fajnie.

Basia Zygmańska

Długi weekend spędziłem na Majorce. Polecam wyspę pod każdym względem.

Wojtek Spała

✹〰✹〰✹

W tym roku prologiem do naszej majówki był wyśmienity koncert Eivor, który odbył się w sobotę 28 kwietnia w ramach JazzArt Festivalu.

Wolne dni spędziliśmy zdecydowanie górsko, choć dość zróżnicowanie.

1 maja wybraliśmy się całą rodziną Goryli na Błatnią z Jaworza (czerwonym szlakiem na szczyt, powrót żółtym do Siodła pod Przykrą i dalej bez szlaku, szeroką leśną drogą). Bardzo przyjemna pętelka na rodzinny spacer.

W czwartek, 3 maja, zainspirowani relacjami znajomych (m.in. Gonzo i koleżanek z pracy) ruszyliśmy z Żółwiem do Czeskiej Szwajcarii.

Po drodze zatrzymaliśmy się w centrach informacji turystycznej w Krasnej Lipie oraz Jetrichowicach, skąd ruszyliśmy na szlak podziwiać Jetrichowickie Steny. Kolejny dzień poświęciliśmy na odwiedzenie najpopularniejszych miejsc Czeskiej Szwajcarii: Bramy Pravickiej oraz doliny Kamenicy, której odcinki pokonuje się łódkami. Po powrocie na parking w Mezni Louka udaliśmy się jeszcze raz na początek szlaku, żeby odbić na „Rysią Ścieżkę" – szlak dydaktyczny, gdzie mogliśmy sprawdzić, ile ważą zwierzęta zamieszkujące tamtejsze lasy (z rysia jest niezły spaślaczek!), a ja dowiedziałam się, że skaczę na tę samą odległość co kuna leśna.

Sama brama nie zrobiła tak dużego wrażenia, jak myślałam... za to generalnie widoki mocno mnie urzekły!

W sobotę opuściliśmy Czeską Szwajcarię, która w tych dniach była bardzo „polska" (zdecydowana większość spotkanych ludzi to Polacy, w tym... Radek Truś! :)) W drodze na wschód doznaliśmy jeszcze geologicznych wrażeń, podziwiając Pańską Skałę – jeden z pierwszych w Europie obszarów chroniących wychodnie skalne (tu – cios bazaltowy, analogiczny np. do sudeckich Organów Wielisławskich). Późnym popołudniem spotkaliśmy się z Agnieszką Malewską (koleżanką z mojego kursu) w Szczawnie-Zdroju, skąd ruszyliśmy na podbój Chełmca – jednego ze szczytów (tak, wiemy, dyskusyjnych) należących do Korony Gór Polski. Nie zabierając ze sobą kijów, mocno zbagatelizowałam tę górę, której zdobycia zdecydowanie nie polecam jako „rodzinnego, niedzielnego spaceru". Chyba że ktoś chciałby na długi czas ukrócić prośby: „zabierz nas kiedyś w góry!" ;)

Noc spędziliśmy w fantastycznej wiacie pod Krzywuchą w górach Suchych (przy żółtym szlaku z Sokołowska do Andrzejówki). W niedzielę, korzystając z możliwości rozstawienia samochodów, postanowiliśmy przejść Broumowskie Steny: z parkingu w Bozanovie do parkingu u podnóży Honsky'ego Spicaka. Po drodze liczyliśmy na czeski obiad w schronisku Hvezda... i bardzo się rozczarowaliśmy, gdy przed godz. 17:00 pozostało nam „pocałować klamkę". Po krótkim spacerze po Broumovie i posileniu się ruszyliśmy do domu.

To był piękny urlop! Szczerze polecamy każde odwiedzone miejsce.

Magda Goryl

ROZPOCZĘCIE KOŁOWEGO SEZONU ROWEROWO - GRILOWEGO 2018

Tegoroczne Rozpoczęcie Sezonu było wyjątkowo pogodne i chyba rekordowe, jeśli chodzi o liczbę uczestników. Na trasę ze Smolnicy wyjechał peleton liczący 25 osób, w tym 9 Harnasi. Na metę dojechała jeszcze trójka harnasi, więc w sumie było 28 osób.

A ponieważ jechało się całkiem przyjemnie i sprawnie, więc wykonaliśmy jednak wariant nieco dłuższy niż planowany – ok. 50 km, z półmetkiem w knajpie w Dziergowicach. Tym razem nikt nie złapał gumy, nie było też innych strat w sprzęcie i ludziach.

Zakończenie odbyło się przy ognisku w ogródku Jacka Pieca.

Dziękuję wszystkim za przybycie, a szczególnie Jackowi za gościnę.

Jacek Ginter

✹〰✹〰✹

W tym roku na majówkę postanowiłam wyjść ze swojej strefy komfortu, i zamiast jak zwykle pojechać w świat, wybrałam się wraz z okołoharnasiową ekipą na rowery w egzotyczne Kaszuby. Sakwy przy rowerze miałam po raz pierwszy na dłużej niż godzinę, było to więc dla mnie doświadczenie nowe i edukacyjne. Naszą trasę nazwaliśmy roboczo „Przez pięć albo i więcej kaszubskich parków krajobrazowych". Udało nam się zahaczyć o kilka z kaszubskich jezior, Bory Tucholskie, rowerową „Wiślankę", Malbork, a nawet Morze Bałtyckie. Ekipa w składzie: Asia, Marta, Olek, Staszek i ja była wspierana na części noclegów przez również krążącą rowerowo w tych rejonach rodzinę Latusków.

Ola Ginter, fot. Asia Śliwa

✹〰✹〰✹

Starszy Kurs pod wodzą Tomka Bochenka wędrował po Beskidzie Niskim.

✹〰✹〰✹

Młodszy kurs szkolił się w Beskidzie Sądeckim i Niskim pod przewodnictwem Juzi.

Juzia i kursantki w Beskidzie Sądeckim.
Fot.: Piotr Ścigała

FERRATA RASNOV

To miejsce odkryłem przypadkiem podczas jednej z wcześniejszych wizyt w rumuńskich Karpatach. Szukając miejsca na nocleg przed wyprawą w góry Bucegi, zanurkowałem w pobliski wąwóz, gdzie spacerując wieczorem z puszką piwa w dłoni, zauważyłem... elementy ferraty. Lina stalowa, klamry... Nie miałem stosownego sprzętu ze sobą, gdyż nie przypuszczałem, że na tego typu trasę natknę się w Rumunii. Cóż, od razu postanowiłem, że muszę tu zawitać ponownie, odpowiednio wyekwipowany. I oto teraz, po wędrówce w górach Lotru i Cindrel, przyszedł na to czas.

Kolejnego poranka dojeżdżam do głównej trasy i obieram kurs na Brasov [braszow]. Przed samym miastem skręt na Rasnov [rysznow], potem w lewo i polną drogą dojeżdżam na skraj Postavaru, do wylotu wąwozu Rasnoavei, bądź Rasnovului – obie nazwy są w użyciu, zależnie od tego, jaką płeć przypisze się miejscowości Rasnov. Przygotowuję plecak do drogi, gdy z przejeżdżających dwóch furmanek dobiegają mnie prośby o wsparcie finansowe. Nie daję się skusić, tłumaczę woźnicom moją sytuację, jako koronny argument wytaczam spanie w wozie zamiast w pensjonatach. Mówią, że nawet nie jedli dziś śniadania – ale w tej kwestii znajdujemy się dokładnie w tej samej sytuacji.

Jadą dalej, a ja ruszam za nimi na piechotę. Słyszę zza zakrętu narastający gwar i po następnych kilku metrach widzę już sporą gromadę mundurowych – to rumuńska armia ćwiczy wspinaczkę na ścianie wąwozu. Mijam stojących przy ciężarówkach i dżipach, pozdrawiam i wyszukuję wzrokiem dojście do ferraty. Dostrzegam ubezpieczenia u dołu ściany po drugiej stronie potoku. Schodzę ścieżką z drogi, kładką przez potok i kieruję się do stalowej liny. Okazuje się, że to tylko krótkie dojście do zawieszonej tu tyrolki – pod lekkim skosem zamocowanej liny do przejazdu nad wąwozem. Rozglądam się wokół i zauważam kawałek liny nieco powyżej za mną, przy dużym, skośnym zacięciu. Podchodzę stromo wśród mniejszych i większych głazów i staję przy początku ferraty.

Widzę, że lina cienka – zupełnie inaczej niż w Alpach. I taka… w ogóle nie naprężona. Nic to – zakładam uprząż, wpinam karabinek i w drogę. Już na pierwszych metrach odczuwam niewielki dyskomfort psychiczny z uwagi na tę cienką i dosyć luźno prowadzoną linę, ale zacięcie nie jest trudne. Zabawa zaczyna się po chwili, kiedy staję na małej platformie, przed pierwszym prawie pionowym fragmentem. Ze skały sterczą bolce – służą zarówno jako chwyty, jak i stopnie. Bolce są w porządku, natomiast lina… Nadal pełen luz.

Ruszam w górę. Ostrożnie zdobywam kolejne metry wysokości i pierwszy hak osiągam około ośmiu metrów nad platformą. Z ulgą przepinam karabinek powyżej haka – do tego momentu ewentualny upadek zaowocowałby praśnięciem o skałę, zanim asekuracja by zablokowała obsunięcie się ciała gdzieś dalej. Czuję się lekko nieswojo. No cóż, widocznie wyszli z założenia, że tak nisko nie warto się jeszcze specjalnie starać, bo któż by chciał spadać z kilku metrów. Mam nadzieję, że wyżej asekuracja będzie już w lepszej kondycji.

Póki co skała traci pion i jest łatwiej. Krótki trawers, obfitujący w drobne, ale przyzwoite stopieńki i mijam niszę skalną. Stąd w górę, małym zacięciem pod przewieszoną skałą – spory odcinek wyposażony w metalowe bolce – i staję na trawiastej płasience pod kolejnym prawie pionowym fragmentem drogi. Ktoś wymalował powyżej jakiś arabski napis, ale zagłębienia i lekko rozmyta farba utrudniają mi jego odczytanie. Może to coś w rodzaju: „Na pohybel naiwniakom".

Ruszam w górę – niestety, lina nadal w opłakanym stanie – przechodzę powoli i ostrożnie z bolca na bolec. Zaczynam stosować zupełnie nietypowy sposób asekuracji. O ile jeden karabinek huśta się swobodnie na luźnej linie, to drugi zaczepiam o kolejne sterczące bolce. Ich długość nie przekracza dwudziestu centymetrów, zdaję więc sobie sprawę z małej skuteczności takiej metody, ale mimo to czuję się odrobinę bezpieczniej. Sama lina, nie dość że pomiędzy rzadko zamontowanymi hakami pałęta się esami-floresami, to nie jest w ogóle do nich zakotwiona. Jedyne stałe punkty zamocowania są w miejscach, gdzie lina się kończy i zaczyna.

Bliski pionu, długi fragment wspinaczki urozmaicony jest krótkimi, niezbyt wystającymi przewieszkami na kolejnych wybrzuszeniach ściany. Wreszcie mam go za sobą i teraz w lewo zaczyna się trawers nad wąwozem. Do gładkiej ściany przymocowane dwa rzędy bolców – jeden dla stóp, drugi wyżej – dla dłoni. Lewa stopa w przód, lewa ręka sięga do następnego bolca, przenoszę ciężar na lewą nogę, unosząc prawą. Co z nią zrobić? Nie dam rady obrócić się bokiem do skały, przepychając prawą nogę między sobą a ścianą tak, by sięgnąć kolejnego bolca. Zaczynam wiercić się na bolcu, próbując wygospodarować trochę miejsca dla prawej stopy. Jest! Dostawiam ją i przenoszę ciężar na nią. Wyciągam teraz lewą w kierunku kolejnego bolca, ale nie sięgnę, póki nie zwolnię prawej dłoni. Problem analogiczny – udaje mi się, trzymając bolec lewą, zostawić odrobinę miejsca dla prawej. Zawijam na nim dwa palce drugiej ręki, powoli puszczam lewą… W porządku, trzymam się. Sięgam lewą do następnego chwytu – jest! Teraz mam tyle swobody, że mogę wreszcie przestawić stopę.

W ten sposób – bardzo powoli – zdobywam metr po metrze. Lina asekuracyjna, która przed chwilą jeszcze biegła powyżej górnego rzędu bolców, teraz zwisa pomiędzy górnym a dolnym. Próbuję oszacować – jeślibym poleciał, to naciągnie się tak, że zawisnę kilka metrów poniżej, nie mając najmniejszej możliwości dotknięcia czegokolwiek. Pełen luz… Zerkam w dół; jak to dobrze, że wojacy jeszcze ćwiczą. Pewnie by usłyszeli moje wołanie. Staram się jednak iść maksymalnie ostrożnie, by nie musieć korzystać z takiej opcji.

Jest następne urozmaicenie – w dolnym rzędzie między szeroko rozmieszczonymi bolcami jest zamocowany łańcuch. Wchodzę na niego i zaczyna się huśtawka, co przy niezmienionej technice przekładania rąk podnosi mi adrenalinę – odczuwam zdecydowany nadmiar ilości stopni swobody. Ale nie ma innej możliwości. Skała się wybrzusza, więc nawet nie widzę swoich stóp, które powoli i systematycznie przesuwają się po łańcuchu – lewa w przód, obciążenie, łańcuch pod nią w dół, prawa dosuwana i obciążana podnosi z kolei lewą w górę. To tylko parę metrów i stawiam wreszcie stopy na skale. Ściana wciąż wybrzuszona, wypinam więc tyłek, szorując brzuchem po skale przy każdym kroku.

Koniec fikuśnego trawersu i przede mną kolejny pionowy odcinek. Na szczęście mam tyle miejsca na obie stopy, że mogę chwilę odpocząć. Spoglądam w dół i widzę, że armia się ewakuuje. Wołam do nich w myśli: „Chłopaki, zostańcie jeszcze!". Nic z tego, wkrótce odjeżdża ostatnie auto i wąwóz pustoszeje. Zostaję sam.

Stosując nadal technikę zawieszania karabinka na kolejnych bolcach, forsuję pionowy odcinek z nieznaczną przewieszką. Osiągam miejsce zamocowania kilku grubych, stalowych lin biegnących nad wąwozem do przeciwległej turni – nie wygląda to na klasyczną tyrolkę, pewnie też służy celom wojskowym. Dalej ferrata staje się nieco łatwiejsza. Wspinam się wąskim filarem i wychodzę na odstrzeloną turniczkę. Mam teraz już szerszy widok – sponad przeciwległej turni wyzierają na horyzoncie góry Bucegi [buczedżi], zaś daleko za wylotem wąwozu, ledwo widoczne, przymglone Piatra Craiului (Królewska Skała).

Krótkie zejście na przełączkę i dalej w górę. Nie jest już tak piekielnie stromo, jak poprzednio, a i bolce są coraz rzadsze. Więcej tu naturalnych stopni i dobrych chwytów, pojawiają się też trawki, wyrastające ze skalnych szczelin. Wchodzę na kolejną turniczkę, skąd widzę już turnię szczytową. Obniżam się odrobinę na przełączkę, a lina zostaje wysoko nade mną. Nie jest bowiem poprowadzona względnie równolegle do skały, tylko biegnie pod dużym kątem w górę. Znów mam kilka bolców do pokonania, więc zaczepiam o nie karabinek, zdając sobie sprawę, że w przypadku odpadnięcia asekuracja na samej linie zrobi ze mnie szybko zjeżdżający wagonik kolejki linowej.

Czuję nawet, jak zawieszony na linie karabinek powoduje naprężenie uprzęży i odciąga mnie od skały, ale udaje mi się przejść najtrudniejszy moment i naprężenie stopniowo maleje. Teraz już łatwiej i wspinam się na następną małą turnię. Kolejna wąska szczerbina i dalej w górę. Znów trudniejszy odcinek – kilka przewieszonych metrów. Tym razem pomagam sobie, opierając nogi o pień drzewa, rosnącego tuż przy skale. Dziękuję ci, buku – bez ciebie byłoby to

cd. str. 4

znacznie trudniejsze. Potem ściana się wyprostowuje, a po chwili lekko kładzie. Ostatnie metry wspinaczki i staję przy krzyżu, postawionym na końcu ferraty. Czuję ogromną satysfakcję, ale też i ulgę – z tak fatalną, czasem wręcz iluzoryczną asekuracją, dotąd się nie spotkałem. Żałuję, że nie wziąłem piwa ze sobą – należałoby to oblać!

Okazuje się, że pozostał mi jeszcze jeden problem do rozwiązania – jak stąd wrócić?

Próbuję najpierw nikłej ścieżyny w prawo, ale szybko wpadam w chaszcze i nic nie rokuje szybkiego ich pokonania. Wracam i próbuję znaleźć lepszy wariant. Nie ma żadnej wyraźnej ścieżki! Kręcę się chwilę tu i tam, w końcu podchodzę jeszcze chwilę, wyszukując wzrokiem jakiejś możliwości zmiany trendu. Otwiera się wreszcie jakiś bardzo stromy, pokryty zeschłymi liśćmi, żleb i zaczynam nim schodzić. Łapię się, czego się da, ale i ja jestem „łapany" przez gałęzie, które głównie uwzięły się na przytroczone do plecaka kijki. Nie używam ich pomimo mocnego spadu terenu, gdyż w grubym dywanie liści czają się kolejne, chętne gałęzie. Udaje mi się w końcu bez zaliczenia gleby dotrzeć do mniej stromego i rzadszego lasu.

Staram się utrzymywać kierunek tak, by nie wyjść na ściany wąwozu, ale i nie oddalać się zanadto od niego i wreszcie natrafiam na jakąś dróżkę. Szurając miarowo wśród liści, schodzę coraz niżej, aż dostrzegam drogę w dolinie. Skracam znów przez las i po chwili jestem na drodze blisko wylotu wąwozu. W parę minut docieram do auta i mogę wreszcie uczcić udane przejście jedynej rumuńskiej ferraty. (Te słowa się zdążą zdezaktualizować, gdyż w późniejszych latach Rumuni zaczną wyznaczać kolejne tego typu trasy.)

Zostało mi jeszcze dobrych kilka godzin tego dnia, przeglądam więc mapy okolicy i wybór pada na Piatra Craiului, a konkretnie na kilka wąwozów w tych górach. Wskakuję więc do wozu i przejeżdżam przez Bran na południowy-zachód szosą, pięknie poprowadzoną długim grzbietem pomiędzy Piatra Craiului z jednej strony, a Bucegi z drugiej. W Podu Dambovitei [dymbowicej] zjeżdżam w prawo, zgodnie z drogowskazem: Dambovicioara [dymbowiczioara]. Parkuję u wylotu wąwozu i zwiedzam go na piechotę. Idę szosą, ale ruch jest znikomy. Wąwóz jest ładny – bardzo strome, czasem pionowe ściany zostawiają chwilami miejsce tylko dla drogi i potoku. Zadzieram raz po raz głowę w górę, zaglądam z ciekawością w wąskie żleby, podziwiam skalne iglice, pstrykam fotki. Słońce tu na dół nie dociera, tylko momentami widzę oświetlone, niewielkie górne fragmenty. Tak dochodzę do rozszerzenia i pierwszych zabudowań, gdzie odwracam się na pięcie i tą samą drogą wracam do auta.

Zjeżdżam do głównej szosy tylko po to, by zaraz następnym zjazdem w prawo wjechać do kolejnego wąwozu, którym płynie rzeka Dambovita. Tym razem robię autokarówkę, zatrzymując się co chwila i wychodząc z wozu, by się lepiej przyjrzeć ścianom wąwozu. Dojeżdżam do miejsca, gdzie z góry schodzą schodki, ponad którymi widać szeroki otwór groty. Zamykam więc auto i w górę. Rodzaj szlabanu z pnia drzewa nie stanowi istotnej przeszkody i już wchodzę do sporej wielkości komnaty. Luźne głazy wyścielają dno jaskini. Klucząc między nimi, docieram do stalowej kraty – dalej już się nie da. Za to jest ładny widok z wnętrza na przeciwległą, zalesioną w tym miejscu, ścianę wąwozu.

Wracam do samochodu i przejeżdżam aż do miejsca, gdzie wąwóz się rozszerza – nadal zatrzymując się co kawałek. Teraz odwrót i po chwili jestem znów na szosie. Łapię jeszcze jeden wąwóz – tym razem po drugiej stronie drogi. Jest już coraz mniej światła dziennego, ale wąwóz jest krótki. Na jego końcu robię sobie wieczerzę i pozostaje mi już tylko przejazd w kolejne góry.

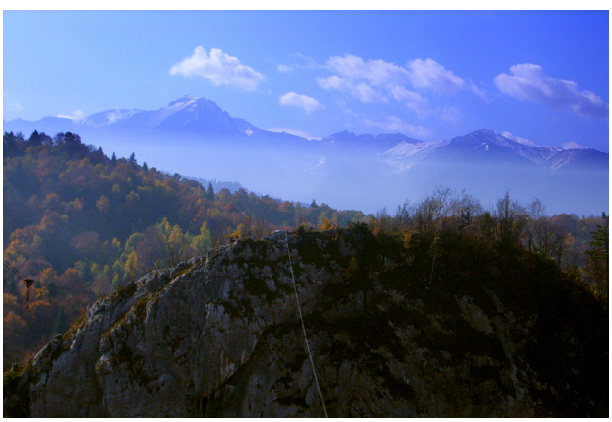

Trasa wiedzie z powrotem przez Bran i Rasnov, tam kierunek na Predeal, następna jest Sinaia, po czym zjazd w prawo i w wiosce Glod znajduję drogowskaz w prawo: Dobresti [dobreszti]. Skręcam i kilka kilometrów dalej widzę interesującą mnie informację: cabana Bratei – 10 km. Chwilę później dojeżdżam do zakazu ruchu z umieszczoną pod nim tabliczką, kogo on nie dotyczy. Napis jest zatarty do tego stopnia, że nie potrafię go odszyfrować – cóż, pozostaje mi nadzieja, że nie dotyczy on mnie. Jest już bardzo późno, więc gdy kawałek dalej znajduję między drogą a potokiem miejsce na tyle szerokie i płaskie, że mogę tam wóz postawić – decyduję się na nocleg. Wąski pas rozgwieżdżonego nieba nade mną, a we mnie… nadzieja na kolejny piękny dzień – tym razem w górach Leaota [liaota] i już bez takich niespodzianek jak dzisiaj.

Wojtek Spała

TO BYŁO

✔ 7.04 odbyło się pierwsze spotkanie z cyklu Kupoku (czyli Kulturalnych Podróży Kulinarnych), którego jesteśmy partnerem. Organizatorem spotkań jest Helcia Suchodolska, a prelegentem był Dawid Wacławczyk.

✔ 22.04 Rozpoczęcie Kołowego Sezonu Rowerowego w Kleszczowie zgromadziło 25 osób.

✔ 22.04 slajdowisko z cyklu Harnasie w Namaste. Ola Ginter i Marta Stachurska opowiedziały o swoim wyjeździe do Tajlandii.

✔ 10.05 odbyła się kołowa majówka w Dąbrowie Górniczej, na Pogorii, która zgromadziła 11 osób.

✔ 11.05 w ramach projektu Kulturalne Podróże Kulinarne Ala i Damian Nakonieczny opowiedzieli o swojej wyprawie do Kirgistanu.

✔ 12–13.05 odbył się X Rajd Igrowy z zakończeniem w Chatce na Pietraszonce. Frekwencja dopisała (39 uczestników), pogoda również, a spaghetti na mecie wystarczyło dla wszystkich.

✔ 28.05 slajdowisko z cyklu Harnasie w Namaste pt. „Norwegia pachnąca chrobotkiem, czyli dziewczyny w Domu Olbrzymów". Kaja i Pola Zielańskie (córki Krokodyla) opowiedziały o górach Norwegii.

TO BĘDZIE

✻ 9–10.06 wyjazd w Beskid Makowski. Proponuję następującą trasę:
– start w Makowie Podhalańskim
– nocleg na Groniu (Polanie Gronie).
W niedzielę wędrujemy bezszlakowo w rejonie Mosorowej i Kamiennej Góry i wracamy do Makowa. W wariancie extralight możemy dokonać rozstawienia aut w Makowie i na przełęczy Jabconiówka.

Nocleg jak zwykle w namiotach, wieczorem ognisko i tradycyjne pieczonki ziemniaczane.

Jacek Ginter

✻ 9–10.06 weekend remontowy w bazie na Przysłopie Potóckim.

✻ Jak co roku zapraszam wszystkich serdecznie do bazowania na Przysłopie Potóckim. Rok temu świętowaliśmy 10-lecie bazy i oby przez następne lata była i służyła kolejnym turystom. Kontakt: poczta@przyslop-potocki.pttk.pl

Gosia Musiał

✻ 17.06 Harnasie w Namaste – Jacek Przyłucki opowie o rejsie do Szwecji.